

KATARZYNA REDMERSKA

Jak (nie) zostać KRÓLOWĄ

KATARZYNA REDMERSKA

Jak (nie) zostać KRÓLOWĄ

TOM 1

Ta miłość nie mogła się spełnić.

Ona antyroyalistka. On król.

Przeznaczenie miało jednak własny plan.



AXIS MUNDI

Copyright © 2024 by Katarzyna Redmerska
Copyright for this edition © 2024 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska
REDAKCJA I KOREKTA: Iwona Hardej
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I
ISBN PRINT: 978-8383-83-179-4
EAN: 9788383831794
ISBN E-BOOK: 978-83-8383-180-0

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Pamięci Mamy. Dziękuję za doping,
bym nigdy nie przestawała marzyć.

PROLOG

Każde bez wyjątku wydarzenie ma swoją przyczynę i swój skutek. Jedni uważają, że mają wpływ na wydarzenia dziejące się w ich życiu, inni sądzą, że są one im z góry przypisane i czego by nie robić, i tak nie uda się zmienić przeznaczenia. Nasza bohaterka zalicza się do tej pierwszej grupy. Niebawem przyjdzie jej zweryfikować swoje poglądy. Na razie jednak nieświadoma, co przygotował dla niej los, zmierza, jak co dzień, na rowerze (środek transportu ekologiczny i zdrowy, a dla naszej bohaterki liczy się dbałość o kondycję – tak własną, jak i środowiska) do pracy ulicami malowniczego Wrocławia w rześki, słoneczny, majowy poranek. Każdy będący na jej miejscu, a wrażliwy na piękno, delektowałby się teraz widokiem mijanych miejsc, nawet gdyby przemierzał tę trasę dzień w dzień: Odrą przypominającą błyszczącą wstążkę rtęci, leniwie przepływającą pod Mostami Młyńskimi; frontonami odnowionych przedwojennych kamienic, zdobnymi w wymyślne ornamenty i balustrady balkonów kute w żelazie; zielonymi skwerkami z kwitnącymi kasztanowcami i azaliami przyciągającymi wzrok paletą pastelowych barw. Nie umknęłyby mu też widoki mniej urokliwe: budowle przypominające pudła ze szkła i stali, odbijające złotymi refleksami poranne promienie słońca – architektoniczny przykład współczesnych czasów, ani też wianuszki aut sunące jednostajnie zapchanyymi ulicami – przykład lenistwa i wygody społeczeństwa. Nasza

bohaterka nie ma jednak czasu na zaspokajanie potrzeby harmonii i piękna, intensywnie przegląda bowiem w myślach plan dnia (jest profesjonalistką), zastanawiając się, czy ze wszystkim zdąży (jest realistką), i podsumowując: od czego jest dobra organizacja pracy (jest przecież profesjonalistką).

Bohaterka niniejszej powieści, Malwina Krzysztopolska, została szczerze obdarzona przez naturę siłą charakteru, niezmaconą pewnością siebie, hartem ducha i spokojem wewnętrznym (dotąd szczęśliwie niezachwianym). Wiodła ustabilizowane, pełne sukcesów (no, może z małymi wyjątkami) życie. Wkrótce miało się ono diametralnie zmienić, a ona sama miała zacząć kwestionować swoje życiowe wybory i poglądy. Nie uprzedzajmy jednak faktów i pozwólmy niespiesznie toczyć się tej historii. Skupmy się na razie na samej Malwinie: smukłej, piegowatej szatynce o dystygowanych ruchach i dumnie uniesionej głowie, wokół której (szatynki, a nie tylko jej głowy) unosi się aura intelektualnego dystansu, potęgowanego władczą swobodą i tembrem głosu (czasem ze szczyptą popędlivosti). Nie było tajemnicą, że Malwina u wielu wzbudza respekt, a nawet bojaźń – jej szef nie krył tego uczucia, rodzony ojciec zresztą także się go nie wypierał.

Malwina była atrakcyjną kobietą – jej urok krył się w brązowych, inteligentnie spoglądających oczach i dołeczkach zdołbiących policzki, gdy się uśmiechała. Niestety uśmiechała się zdecydowanie zbyt rzadko. Nie przywiązywała wagi do piękna zewnętrznego, przedkładając piękno intelektu nad to fizyczne, zarówno u siebie, jak i u innych. Jak mawiała, uroda bywa złudna, a inteligencja to konkret. A Malwina lubiła trzymać się konkretnych, myśleć w sposób ścisły i logiczny i zajmować się tym, co istnieje na pewno i ma znaczenie praktyczne. Praktyczna była także jej szafa: ubrania miały być przede wszystkim funkcjonalne, trwałe i nie rozpraszać uwagi, preferowała więc styl sportowy i odżegnywała się od wyszukanych sukienek i szpilek.

Od dziecka Malwina charakteryzowała się uporem i indywidualnością, które to cechy płynnie ze sobą korespondowały. Jej upór był przejawem tendencji do zaznaczenia swojej indywidualności i samodzielności. Zauważalne to było zwłaszcza w doborze zainteresowań. Podczas gdy jej rówieśniczki bawiły się lalkami, kreując i odgrywając różne scenariusze i role, ona wołała zgłębiać świat fauny, konkretnie jej przedstawicieli – mięczaków, a jeszcze konkretniej – ślimaków. Znosiła pasjami do domu ślimaki, które miały tendencję rozlaźnić się i pojawiać w miejscach, gdzie najmniej ich się spodziewano (szczególnie upodobały sobie buty pana domu i kosz z parasolami). Los ślimaków zaabsorbował naszą bohaterkę do tego stopnia, że napisała petycję do prezydenta Francji, by zakazał ich zjadania (niestety bez odzewu). Etap ślimaczy szczęśliwie minął, ustępując miejsca zainteresowaniu prądem elektrycznym. Malwina z pasją tropiła ów prąd z dziwnych (dla niej) powodów ukrywający się w gniazdkach. Z zapalem grzebała w nich próbnikiem (sposzregła ten przyrząd w ojcowskiej skrzynce z narzędziami i niesłuchanie ją zaintrygował) i tylko wrodzone poczucie rozsądku (które podpowiadało jej, że grzebanie w gniazdkach nie jest bezpieczne) uchroniło ją przed poważnymi konsekwencjami takiej zabawy. Następnie, ku radości domowników, przerzuciła swoje zainteresowanie na książki. Bogate księgozbiory – nie powstydzilaby się ich średniej wielkości filia biblioteczna – babci Rozalii Koliby (polskiej filolog, profesor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa) i ojca Witolda Krzysztopolskiego (adwokata i zagorzałego bibliofila) zachwycaly różnorodnością i obfitością. Dostarczały równie dużo wrażeń, lecz w przeciwieństwie do poprzednich zainteresowań naszej bohaterki nie miały tendencji do pełzania czy wywoływania zwarć.

– Lubię w książkach zapach druku i szeleszczące kartki, pełne opowiedzianych historii – wyjawila babci mała Malwina

w przypływie szczerości. – Kiedy czytam, to tak jakbym rozmawiała z pisarzem, otrzymała klucz do jego najskrytszych myśli. – Uśmiechnęła się łobuzersko.

Praca wśród książek i unoszącej się z nich aury czyichś myśli, uczuć – to chciała robić w dorosłości. To właśnie babcia Rozalia, wieloletnia kierowniczka Katedry Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski Uniwersytetu Wrocławskiego, miała niemały wpływ na wybór drogi zawodowej Malwiny. Zauważywszy zainteresowanie wnuczki książkami, umiejętnie zaczęła podsuwać jej tytuły, nigdy nie narzucając jednak swojego gustu, a jedynie delikatnie sugerując. Malwina bardzo sobie ceniła babcię. Podziwiała ją za charyzmę, mądrość, wiedzę, praktyczne podejście do życia i to, że nigdy się nie poddawała. Profesor Rozalia Koliba była silną osobowością. Ta drobnej budowy kobieta o delikatnych rysach kierowała się w życiu dwoma dewizami: pierwsza głosiła, że niepowodzenia budują, druga, że trudności stworzone są po to, aby je przezwyciężać. Lubiła łamać konwenanse, jak chociażby, gdy ryzykując naukową karierę, narażając się na plotki i nieprzychylnie komentarze, zdecydowała się poślubić swojego o dziesięć lat młodszego asystenta. Dzisiaj takie związki nie robią na nikim wrażenia – można nawet pokusić się o stwierdzenie, że spowszedniały – kiedyś było zdecydowanie inaczej. W kręgach uniwersyteckiego światka mariaż ten wzbudzał spore emocje. Wielu było zaskoczonych, że pozostająca długie lata we wdowieństwie Rozalia (jej pierwszy mąż, Marcin Krzysztopolski, zginął w wypadku samochodowym, pozostawiając ją z małym synkiem) zdecydowała się na taki krok. „Ludzie zawsze będą gadać. Nie należy się tym przejmować i robić swoje” – mawiała babka Malwiny, tworząc z młodszym mężem udany, szczęśliwy związek. Nie będzie tutaj przesadą stwierdzenie, że Rozalia Koliba stanowiła fundament, na którym opierała się cała rodzina naszej bohaterki.

Malwina stawiała sobie babcię za wzór i chciała być jej kopią, nie we wszystkim jednak (kto powiedział, że kopia musi być idealna): ich poglądy na sprawy damsko-męskie zdecydowanie się różniły. Ryzykowanie kariery zawodowej dla porywów serca Malwina uważała za przejaw romantycznej niefrasobliwości i nie zamierzała naśladować. Klóciło się to z jej naturą: trzeźwą, racjonalną i krytyczną. Uczucie uczuciem, ale potem przychodzi rzeczywistość, która weryfikuje nawet największe romantyczne porywy. Kariera albo miłość – na coś trzeba się zdecydować, a połączenie tych dwóch rzeczy jest niemożliwe (przykłady można tutaj mnożyć do woli). Owszem, babci się udało, trafiła szczęśliwy los na loterii, ale wyjątek tylko potwierdza regułę. Nie, nie i jeszcze raz nie!

Malwina po ukończeniu z wyróżnieniem filologii polskiej rozpoczęła pracę w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Wrocławiu. Obecnie, w wieku trzydziestu siedmiu lat, mogła poszczycić się tytułem doktora habilitowanego nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa i sporym dorobkiem naukowym. Specjalizowała się w epoce romantyzmu. Intrygował ją w tym nurcie prymat uczucia nad rozumem. Dla osoby takiej jak ona – konkretnej i twardo stąpającej po ziemi – szaleństwo romantycznych bohaterów stanowiło interesujący materiał do badań. Malwina osobiście dała się ponieść romantycznemu szaleństwu jeden jedyny raz (a tak się zarzekała! Cha, cha, cha!). Maćka poznała na jednym z sympozjów: doktor nauk matematycznych od razu przykuł jej uwagę (z wzajemnością). Nieprzeciętnie inteligentny, mimo młodego wieku miał na koncie kilka międzynarodowych sukcesów. Zakochali się w sobie (tak przynajmniej im się wydawało). Oboje mocno zajęci – kolejny projekt (on), rozpoczęty doktorat (ona) – poprzestali na ślubie cywilnym, stwierdzając, że na uroczystość kościelną i wesele z prawdziwego zdarzenia przyjdzie czas. Czas rzeczywiście

przyszedł, ale na rozwód, który nastąpił niespełna dwa lata po ślubie. Proza życia ukazała w pełnej krasie, że żadne z nich nie nadaje się do małżeństwa. Wciąż zajęci, wciąż w biegu, coraz bardziej oddalali się od siebie, chociaż prawdę mówiąc, nigdy w pełni ze sobą nie byli (jak można mówić o byciu ze sobą, gdy czasu ma się dla siebie jak na lekarstwo?). Rozstali się w zgodzie i z ulgą, ale nie bez uczuć towarzyszących: rozczarowania (Maciek) i niezadowolenia z siebie (Malwina). Nie było co się dziwić nastrojowi Malwiny: deklarowała niechęć do porywów serca i tak dała się podejść! To była nauczka – więcej nie pozwoli sobie na żadne porywy (zwłaszcza uczuciowe). Jej środowiskiem jest kurz bibliotek, studiowanie woluminów, badanie i odkrywanie ich sekretów. Mężczyzna tu tylko przeszkadza. Skumulowanemu niezadowoleniu (wciąż ją trzymało) postanowiła dać upust, zapisując się na karate. Oznajmiła zaskoczonej rodzinie, że w dobie upadku obyczajów i szerzącego się dosłownie na każdym kroku rozboju umiejętność obrony jest po prostu koniecznością. Wytlumaczenie przyjęto ze zrozumieniem, jedynie mina babci Rozalii (lekko kpiąca) pozwalała przypuszczać, że nestorka nie dała się nabrać na takie farmazony. Malwina postanowiła to zignorować.

Tak (w dużym skrócie) przedstawia się charakterystyka naszej bohaterki. Tym wszystkim, którzy w tym momencie odczuwają niedosyt, obiecuję, że ich ciekawość wkrótce zostanie w pełni zaspokojona.

Teraz czas przejść do teraźniejszości. Tym bardziej że Malwina dotarła właśnie do pracy. Jeszcze nie wie, że niebawem otrzyma informacje, które staną się początkiem zmian w jej życiu. Czy jest na nie gotowa?

ROZDZIAŁ 1

– **N**o, jesteś nareszcie – Patrycja Brolnicka z wyraźną ulgą przywitała wchodzącą do pokoju Malwinę. – Stary cię szuka.

– O tej porze? – Malwina nieco się zdziwiła.

Patrycja lekko wzruszyła ramionami.

– Mówi, że nie może się do ciebie dodzwonić.

– Wie, że rano mam wyciszony telefon. Orientujesz się, o co chodzi? – zapytała, sięgając po komórkę. Rzeczywiście miała trzy nieodebrane wiadomości, wszystkie od swojego szefa.

Przyjaciółka pokręciła głową, a po lekkim namyśle dodała:

– W każdym razie jest bardzo zaaferowany.

– Hm, hm, ciekawe – zastanawiała się głośno Malwina. – Może zdecydował się jednak przejść na emeryturę i mnie pierwszej chce oznajmić tę wielką nowinę. – Rzuciła Patrycji rozbawione spojrzenie.

– Toniesz w złudzeniach, moja droga.

Obie parsknęły śmiechem. Wesołość była uzasadniona, albowiem profesor Olgierd Pokosiński wciąż mówił, że czas iść na emeryturę, ale nic w tym kierunku nie robił. Jego emerytura stała się wśród pracowników rodzajem anegdoty, którą ze smakiem przytaczano i co rusz ubarwiano. Co ciekawe – bez żadnych protestów ze strony jej bohatera, a wręcz z jego przyzwoleniem.

– Idź i dowiedz się, co to za sprawa. Płonę z ciekawości.

– Idę, idę. – Malwina podążyła z powrotem w stronę drzwi. – Szkoda by było, gdybyś zamieniła się w kupkę popiołu – rzuciła z serdeczną kpiną.

Sama była ciekawa, co też profesor Pokosiński ma jej szczególnego do powiedzenia, że aż tak się niecierpliwi.

* * *

Na widok swojej ulubionej pracownicy Olgierd Pokosiński podskoczył, jakby go ktoś ukłuł szpilką. U tego nobliwego, sędziwego mężczyzny (grubo po siedemdziesiątce) było to zachowanie niecodzienne.

– Siadaj – poprosił kordialnie. – To, co mam ci do przekazania, zwali cię z nóg. – Zatarł z zadowoleniem dłoń.

– Powinnam zacząć się martwić?

– W żadnym razie – zaprzeczył, opierając się o biurko.

Malwina zauważyła, że jest wyraźnie poruszony. Oczy mu błyszczały, a wokół całej jego postaci unosiła się aura podekscytowania. W podobnym stanie widziała go tylko raz, gdy Jan hrabia Świętuczko przekazał Ossolineum swoje zbiory. Była coraz bardziej zaintrygowana. W myślach przebiegła szybko możliwe wydarzenia, które mogłyby wywołać takie zachowanie, nic jej jednak nie przychodziło do głowy.

– Mów, o co chodzi – poprosiła, skupiając na nim całą swoją uwagę.

Starszy pan przez chwilę milczał, potęgując napięcie.

– W sierpniu jedziesz do Warbenii – oznajmił uroczyście, a jego twarz w uśmiechu, który się właśnie na niej pojawił, pokryła się harmonijką drobnych zmarszczek.

Malwina nie przejawiała oczekiwanej euforii, profesor postanowił więc doprecyzować wiadomość.

– Król Oskar II wyraził zgodę na zbadanie zapisków Juliusza Słowackiego, które są w posiadaniu rodziny królewskiej.

Dopiero teraz sens wypowiedzianych przez niego słów dotarł do jego pracownicy.

– Chcesz powiedzieć, że nam się udało?! – Wpatrywała się w niego, jakby był górą sztabek złota.

Profesor skinął głową z miną wyrażającą dumę i satysfakcję.

– Ależ to absolutnie cudowna wiadomość! – Rozpromieniła się, prezentując urocze dołeczki w piegowatych policzkach. – Będę pierwszą osobą z zewnątrz, która zobaczy te materiały. – Z jej głosu biła ekscytacja pomieszana z niedowierzaniem.

– Myślę, że nie wszystko nam udostępnią. – Próbował studzić jej zapędy.

– Nie bądź pesymistą.

– Jestem umiarkowanym optymistą – poprawił ją. – Takie podejście do życia pozwala ograniczyć rozczarowania do minimum.

Malwina puściła jego uwagę mimo uszu, postanawiając skupić się na nowinie i najzwyczajniej w świecie cieszyć się nią.

– Po śmierci króla Alberta uznałam, że powodzenie tego projektu jest mało realne. A tu proszę, dostaję zielone światło. Będę mogła poszperać w tych wszystkich zapiskach. – Powoli docierał do niej ogrom możliwości.

Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło. Zza otwartego okna dochodziły oddalone odgłosy życia miasta.

– Moja droga, stanęłaś przed szansą przejścia do historii – przerwał ciszę profesor. – Być może już niebawem będziesz miała swój wkład w uzupełnienie życiorysu wielkiego narodowego wieszcza – dodał pompatycznie.

– Być może? Coś znajduję. Po prostu to wiem – odpowiedziała zuchwale, czując, jak odżywają w niej dawne nadzieje i pragnienie przygody.

Profesor patrzył na nią z przyjemnością. Podziwiał wiedzę Malwiny, doceniał ją za nieustający rozwój, szanował za wytrwałość. Czasem również trochę się jej bał: popędlliwość Malwiny i dający o sobie znać autokratyzm mogły wzbudzać obawy. „Jednostki wyjątkowe już tak mają” – myślał w takich chwilach i odważnie stawiał czoła charakterowi ulubionej pracownicy. Widział w niej swoją godną następczynię, oczywiście nie tak zaraz, niech jeszcze nabierze doświadczenia. Na wszystko przyjdzie czas.

– Zawsze mnie fascynowała twoja niezachwiana pewność siebie – rzekł otwarcie.

– W przypadku tej akurat sprawy lekko się zachwiała – stwierdziła z humorem. – Jeśli mam być szczerą, to spisałam ten temat na straty, co nie przyszło mi łatwo. Nie lubię porażek – dodała.

– Myślę, że zadziało tutaj przeznaczenie.

– No proszę cię... – Roześmiała się z pobłażaniem. – Chyba nie wierzysz w takie rzeczy?

– Wierzę, że przeznaczenie skierowało twoje kroki do antykwariatu, w którym znalazłaś klucz do zagadki sprzed lat.

– Skierowała mnie tam moja ciekawość. Uwielbiam odwiedzać takie miejsca – odparła rozbawiona.

Profesor machnął ręką, jakby chciał uciąć te niedorzeczne dywagacje.

– Możesz sobie zaprzeczać do woli. – Nie ustępował. – Uważam, że w naszym życiu nic nie dzieje się bez przyczyny. Rodząc się, każdy z nas ma przypisane zadanie do spełnienia.

– Aha. – Uniosła wymownie brwi. – Czy wliczasz w to także malwersantów i złodziei? – zapytała wyzywająco.

– Ich także. – Nie dawał się wytrącić z równowagi. – Zło jest potrzebne, by istniało dobro – dodał z powagą.

Malwina postanowiła nie ciągnąć tego tematu. Na tyle długo знаła profesora, by wiedzieć, że cechuje go wyjątkowy upór, gdy

broni swoich racji. Niech więc trwa w przekonaniu, że to było przeznaczenie, ona miała na ten temat własne zdanie.

Od dziecka przyciągały Malwinę antykwariaty. Buszując wśród regałów ze starymi woluminami, czuła się jak poszukiwacz skarbów. Z niczym nie dawało się porównać dreszczyku emocji, jaki towarzyszył jej w takich chwilach. Antykwariat w urokliwej uliczce małego miasteczka na południu Francji od razu przykuł jej uwagę. Gdy weszła do środka, owionął ją charakterystyczny zapach kurzu. Natychmiast poddała się atmosferze miejsca z pogranicza świata realnego i magicznego, gdzie czasoprzestrzeń ulega załamaniu. Pociągnęło ją w stronę regałów z poezją. Zwróciła uwagę na mocno podniszczony tomik, oprawiony w czerwone płótno i zdobny złożonymi literami. „Delphine de Barry” – przeczytała na okładce, spojrzała na datę wydania i zamarła. Oto trzymała w dłoni unikatowy egzemplarz. Zaczęła zachłannie przeglądać niewielką książeczkę. Delphine de Barry była poetką romantyzmu, niegdyś niezmiernie znaną. Poetkę miał łączyć krótki i namiętny romans z polskim wieszczem – Juliuszem Słowackim. Z czasu ich bliskich relacji pochodzić miały przesyczone uczuciem wiersze. Ponoć kochankowie posługiwali się w nich między sobą umownym kodem, nie zostało to jednak udowodnione, nie zachowały się bowiem żadne utwory z tego okresu. Tak przynajmniej sądzono. Malwinie podobała się twórczość de Barry – poetka umiała w niezwykle sposób pisać o uczuciach. Nakreślała kilkoma słowami ogrom emocji, wzbudzając w czytelniku całą gamę odczuć. Była też kobietą niezwykle wyzwoloną jak na owe czasy – mówiła i robiła, co myśli, często wbrew konwenansom, narażając się na niepochlebne uwagi. Malwina nie dziwiła się, że Słowacki się w niej zakochał. Przyszli kochankowie poznali się w Warbenii, na dworze króla Leopolda IV. Monarcha, słynący z upodobania do poezji, miał w zwyczaju zapraszać znanych wieszczów z całej Europy.

W tomiku, który wpadł w ręce Malwiny, znajdowały się wiersze datowane na czas, kiedy to rzekomo miał trwać romans tych dwojga. Pieczołowicie przestudiowała wszystkie utwory. Jej zainteresowanie wzbudziły erotyki, jeden zaś szczególnie. Utwór zatytułowany *Wiem* stanowił intymny monolog podmiotu lirycznego, mający formę listu. Przypuszczała, że to właśnie on skrywa miłosny kod kochanków. Były to jedynie domysły, które opierała głównie na tym, że w tym samym czasie erotyki zaczął tworzyć także Słowacki. Ale podobieństwo *Wiem* autorstwa de Barry, gdzie tematem przewodnim poematu jest rozłąka z bliską osobą, do utworu Słowackiego *Rozłączenie*, w którym w kolejnych zdaniach, rozpoczynających się od dobitnego „Nie wiesz”, wyczuwalna jest nuta wyrzutu, było w opinii Malwiny zbyt duże, by nie miało ukrywać czegoś więcej.

Pracując w Ossolineum, Malwina natrafiła na dokumenty, z których wynikało, że Juliusz Słowacki w trakcie swoich wizyt na królewskim dworze w Warbenii stworzył kilka utworów, które ofiarował Leopoldowi IV. Uważała, że w którymś z nich może znajdować się wzmianka o związku Słowackiego z de Barry, a swoimi przypuszczeniami podzieliła się z profesorem Pokosińskim. Dwór nie udostępniał nikomu tych dzieł, mimo to Malwina chciała zwrócić się z prośbą do prawnuka króla Leopolda IV, Alberta, o zgodę na zapoznanie się z nimi. Pokosiński zapalił się do pomysłu i Ossolineum wystosowało oficjalne pismo w tej sprawie. Niestety wkrótce potem król zmarł. Malwina uznała, że sprawa jest zamknięta. Jak widać zbyt szybko spisała projekt na straty.

– Słucham? – Z rozmyślań wytrącił ją głos profesora.

– Wzięło cię – stwierdził z zawodowym zrozumieniem. – Już zaczęłaś snuć plany.

Malwina uśmiechnęła się wymownie. Zza zamkniętych drzwi gabinetu dobiegł przytłumiony odgłos rozmowy, stukot obcasów i trzaśnięcie drzwi, po czym nastała cisza.

– Życzę ci, aby podróż do Warbenii okazała się owocna. – W słowach tych wyrażona była także i nadzieja profesora. Intuicja Malwiny jeszcze nigdy jej nie zawiodła. Starszy pan liczył, że i tym razem nie będzie inaczej. Oczami wyobraźni już widział, jak potencjalne odkrycie nowych szczegółów wpłynie na renomę kierowanej przez niego instytucji.

– Ależ będzie owocna – zapewniła gorąco Malwina, której myśli biegle podobał się torem. – Nawet jeżeli nie znajdę nic, co by przemawiało za romansem Słowackiego z de Barry, to będę miała w rękach niepublikowane dotąd utwory wieszczka. A to jest wartość bezcenna.

Profesor pokiwał głową z zadowoleniem.

– Gdyby król zechciał odsprzedać te materiały lub nam je sprezentować – dał się ponieść marzeniom – Ossolineum bardzo by na tym zyskało. Pomnażanie zbiorów to główny cel naszego instytutu.

– Nie licz na to – stwierdziła trzeźwo. – Nikt o zdrowych zmysłach nie pozbywa się takich rzeczy. Ale możemy zwrócić się z prośbą o ich wypożyczenie. Zorganizowanie wystawy to także dobra reklama instytutu.

– I to jest bardzo dobry pomysł, moja droga! – Ożywił się. – No, ale to dopiero przyszłość. Przejdźmy do teraźniejszości i spraw organizacyjnych, dotyczących twojego wyjazdu do Królestwa Warbenii. – Włożył okulary, po czym sięgnął po jedną z kartek leżących na biurku. – Na miejscu pomocą służyć ci będzie kustosz zamku, niejaki Pierre Jacoby – odczytał. – To ponoć istna skarbnica wiedzy. Zaś zaopiekuje się tobą ochmi-strzyni zamku. W sierpniu obiekt jest zamknięty dla turystów, będziesz miała więc idealne warunki do pracy. Otrzymałem informację, że król jest w posiadaniu także prywatnej korespondencji, jaką Słowacki prowadził z jego przodkiem – kontynuował profesor.

– Jestem pod wrażeniem – powiedziała Malwina. – Plan mojego pobytu dopracowano w najmniejszym szczególe.

– Król podszedł do całej sprawy profesjonalnie – zgodził się z nią Pokosiński.

– Chciałeś powiedzieć, że zadbało o to jego zaplecze.

– Nie oceniaj zbyt pochopnie.

– Mam ugruntowane zdanie na temat tego środowiska. W każdym razie większości jego przedstawicieli – uściśliła, bo starała się być sprawiedliwa w swoich osądach (tak się jej przynajmniej wydawało).

Starszy pan roześmiał się i pokiwał głową. Antyrojalistyczne poglądy Malwiny były mu od dawna znane.

– „Grupa odrealnionych błękitnokrwistych celebrytów, których jedynym zadaniem jest machać ręką do ludu, przecinać wstęgi, a ich problemy to w co się ubrać i jak ustawić do zdjęcia, by dobrze na nim wyjść” – zacytował jedną z jej zwyczajowych wypowiedzi.

– To dekoracja – dodała celem podsumowania.

– Nie jesteś aby zbyt surowa w swoich osądach?

– W żadnym razie – zaprzeczyła stanowczo, podnosząc się z miejsca. – To całe rojalistyczne towarzystwo powinno pójść do normalnej pracy.

– To jest właśnie ich praca: dawać podwładnym to, czego od nich oczekują, czyli bajkowe życie, złożone karety, przepych, splendor i masę tematów dla kolorowej prasy. – Łypnęła na nią spod oka, odprowadzając do drzwi.

– Straszne – powiedziała Malwina grobowo.

– Powiedz to naszej fance royalsów, Patrycji. Ściągnęła sobie na komórkę specjalną aplikację, która na bieżąco informuje ją o królewskich wydarzeniach. To się nazywa pasja – zauważył nie bez uciechy.

– Raczej obsesja. – Malwina chciała mieć w tej dyskusji ostatnie słowo.

* * *

– Warbeńska rodzina królewska oczywiście nie cieszy się tak wielką popularnością jak brytyjska – perorowała Patrycja z rumieńcem ekscytacji, zdobiącym jej sympatyczną buzię. – Nie oznacza to jednak, że nie mają rzeszy wiernych fanów. Największe zainteresowanie budzi, co zrozumiałe, król Oskar II. Jest to postać nietuzinkowa, co do tego nie ma wątpliwości. Sprawia wrażenie niedostępnego, umiejętnie skrywa emocje i zawsze jest beznadziejnie poważny. Zyskał nawet przydomek „Ponury”. Dawno przekroczył czterdziestkę i wciąż się nie ożenił. Prasa co i rusz spekuluje w tym temacie. Starają się łączyć jego osobę z różnymi kobietami, zwłaszcza z niejaką lady Emilią. Odgrzewają ten temat do znużenia. A wszystko, co piszą, jest zwyczajnie wyssane z palca. – Patrycja przewróciła oczami. – Oni się po prostu przyjaźnią od lat. Tak na marginesie, to ta kobieta w ogóle do niego nie pasuje, jest jakaś taka mdła. A jemu potrzeba kobiety temperamentnej, która by go wydobyła z tej drętwy. Rzecz jasna to tylko moje skromne zdanie. Może on lubi mdłe, kto wie. – Zamyśliła się. – Mężczyźni mają dziwny gust.

Od momentu gdy Malwina poinformowała ją o swoim wyjeździe do Warbenii, usta przyjaciółki nie zamknęły się ani na chwilę. Rozwijając ulubiony temat, Patrycja opowiadała długo i zawile, zagłębiając się w liczne szczegóły i dygresje. Malwinę zawsze nużyły te zawikłane, a równocześnie dziwnie do siebie podobne wątki i poczynania monarszego światka. Wyrobiła sobie umiejętność automatycznego wyłączania uwagi (pozostawiając jedynie niezbędne minimum, by jako tako orientować się w temacie i nie wyjść na niegrzeczną, gdy prelegentka zapragnie nagle utwierdzić się, że jest słuchana i zada w związku z tym jakieś pytanie) już po pierwszych zdaniach

przyjaciółki. Teraz też, jednym uchem słuchając pełnych impresji wywodów Patrycji, zajęła się sprawdzaniem elektronicznej poczty.

– Królewscy eksperci uważają, że Oskar zмага się z kryzysem tożsamości – mówiła tymczasem Patrycja.

– Fatalnie – mruknęła Malwina, śledząc treść jednej z wiadomości.

– A pewnie, że fatalnie. Od zawsze wiedział, że będzie królem. Od dziecka był na ten urząd przygotowywany. Uważam, że takie fochy po prostu nie przystoją bądź co bądź dorosłemu mężczyźnie.

– Półgłówek.

– Nie byłabym aż tak kategoryczna w osądzie, moja droga. Nie wiemy przecież, co nim tak naprawdę kieruje. – Broniła swojego idola Patrycja.

– Co za brak solidności i mimo wszystko duża niedojrzałość. – Malwina stuknęła zamasyście w klawiaturę.

– Tak myślisz? – Przyjaciółka oddała się rozmyślaniom. – Może i racja – zgodziła się. – Nie sądziłam, że tak dobrze orientujesz się w temacie – zauważyła, nie bez zdziwienia.

– Uhm – rzuciła mimochodem Malwina, coraz bardziej zajęta swoimi myślami. – Jego nazwisko w pełni wkomponowuje się w prezentowaną beztroskę – zrzędziła pod nosem, wysyłając stanowczą odpowiedź do nadawcy.

– Co ty chcesz, przepraszam, od jego nazwiska? – zainteresowała się Patrycja. – Ma wytworne nazwisko.

– Wytworne? – Malwina oderwała wzrok od klawiatury i spojrzała na nią znad komputera.

– Jest bardzo, bardzo królewskie.

– Pączuś jest królewskim nazwiskiem?

– Jaki znowu Pączuś? – Patrycja zbaraniała.

– Filip Pączuś, nasz intrologator.

– A coś ty nagle z nim wyskoczyła? Przecież ja mówię o królu Oskarze Wilhelmie Edwardzie Ludwiku Wallimoux. Nie słuchałaś mnie – dodała z wyrzutem.

– Słuchałam, tylko, eee, nieuważnie.

– Bardzo ci dziękuję, doprawdy.

– Pączuś znowu nawala z terminem – postanowiła wytłumaczyć swoje rozkojarzenie Malwina. – Do tego te jego maile. Nie cierpię, gdy ktoś zaczyna mail od słowa: „Hejka”. Żeby intrologator miał tak zerową wrażliwość leksykalną!

– On naprawia te woluminy, a nie je studiuje – zauważyła trzeźwo Patrycja.

– A to błąd. Gdyby sobie czasem poczytał to, co tak skrupulatnie odrestaurowuje, może by się nauczył zasad poprawnej polszczyzny.

– Daj spokój, to najlepszy intrologator we Wrocławiu, trzeba przymknąć oko.

– A co ja robię?

– Wracając do Oskara, króla Oskara... Ale czy ciebie to w ogóle interesuje? – Patrycja spojrzała na nią podejrzliwie.

– Przecież znasz odpowiedź.

– W tym przypadku powinnaś nieco nagiąć swoje zasady, moja droga.

– A to dlaczego? – zdziwiła się Malwina.

– Będiesz w pewnym sensie królewskim gościem. Powinnaś wiedzieć o nim przynajmniej niezbędne minimum.

– No dobrze, mów. Tylko zwięźle i bez zbędnych ozdobników – poddała się Malwina.

Patrycja nie kryła zadowolenia.

– Na czym to jak skończyłam?

– Było coś o kryzysie tożsamości.

– Otóż to, kryzys tożsamości. Widać, że rola króla go męczy. A dlaczego męczy? – zapytała Patrycja retorycznie.

- Dotarło do biedaka, że to jałowa funkcja?
- No co też ty – oburzyła się miłośniczka królewskich rodów i wyjaśniła: – Problem tkwi w silnych osobowościach rodziców. Nie dali się synowi samodzielnie rozwinąć. Królowa Maria, jego matka, to apodyktyczny typ. Nazywają ją „stalowa Maryśka”. Nie jest tajemnicą, że między nią a synem panują chłodne relacje. Oskar nawet jako dziecko nie miał łatwo. Podobny przykład mamy na brytyjskim dworze, król Karol na przykład...
- Miało być zwięźle – przypomniała Malwina.
- Król Oskar nie lubi pokazywać się publicznie – kontynuowała Patrycja, starając się ograniczyć informacje do niezbędnego minimum, było to jednak niesłychanie trudne. Owszem, domyślała się, że jest może odrobinę męcząca w swej niekończącej się elokwencji, ale jakoś nie mogła nad nią zapanować.
- I to oznacza, że dopadł go kryzys tożsamości? – zapytała Malwina, starając się brać czynny udział w dyskusji, która obchodziła ją mniej niż zeszłoroczny śnieg.
- Każdy psycholog powie ci, że to forma odseparowania się od problemu.
- Nie widzę związku. Szanownego króla męczą po prostu sztuczne uśmiechy i udawanie zainteresowania – stwierdziła ironicznie.
- To opinia obserwatorów korony – wyjaśniła z wyższością znawczyni monarszych rozterek.
- A, to zmienia postać rzeczy.
- Jego ojciec, król Albert, aktywnie brał udział w życiu publicznym. – Wyglądało na to, że Patrycja nie zamierza kończyć tematu mimo jawnego pokpiwania Malwiny. – Szkoda, że rzadko się pokazuje. Król Oskar oczywiście. Jest z niego prawdziwe ciacho. Zobacz sama.
- Wygląda przeciętnie. – Malwina rzuciła pobieżnie okiem na widniejące na monitorze zdjęcie.

- Przeciętnie?! – Przyjaciółka nie posiadała się z oburzenia. – Jakie zatem kryteria fizyczności powinien spełniać mężczyzna, byś uznała go za przystojnego? – zaciekała się.

Malwina nie odpowiedziała. Patrycja, niezrażona jej postawą, drażyła temat dalej:

- Jaki jest twój typ mężczyzny? Czy ty w ogóle masz takowy?
- Nie mam. – Padła krótka odpowiedź.
- Każda kobieta ma swój typ, to odwieczne prawo natury.
- Jak widać bywają wyjątki.

Patrycja przez chwilę mierzyła ją wzrokiem, po czym zaryzykowała:

- A mnie się wydaje, że to typ intelektualisty: myślący wzrok, inteligentna twarz z rysem stanowczości wokół ujmujących ust.

Cień Maćka, byłego męża Malwiny, na moment zawisł między nimi, po czym rozplynął się w niebycie.

- Jesteś koza – powiedziała Malwina, a w jej brązowych oczach pojawił się ostrzegawczy błysk.

Były mąż stanowił dla Malwiny temat drażliwy. Nie trzeba było być Freudem, by domyślić się, że ma to ścisły związek z porażką. Przywykła do sukcesów Malwina w małżeństwie poniosła sromotną klęskę. Ale żeby zaraz tak reagować? Patrycja uważała, że histeryczne poniekąd zachowanie przyjaciółki jest mocno przesadzone.

- A ja mam – odezwała się, jakby nigdy nic kontynuując rozpoczęty wątek. – Marzy mi się mężczyzna w typie pana Rochester^{*}, otoczony nimbem tajemnicy, którą będę mogła odkryć – westchnęła z tęsknotą. Jak dotąd żaden kandydat, chociażby tylko

^{*} Szczęściem obie rozmówczynie skupiły się na literackiej postaci pana Rochester, narzeczonego głównej bohaterki *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Brontë, czytelnikom pozostawiając dylemat, czy lepiej ucieleśnić tegoż bohatera w ekranizacji William Hurt, Toby Stephens czy też może Michael Fassbender.

zbliżony do wymarzonego ideału, nie pojawił się na jej drodze. Nie porzucała jednak nadziei, że kiedyś się pojawi.

– Rozumiem, że tajemnica ma być mroczna, jak u Charlotte Brontë. – Malwina była bezlitosna. – Proponuję poszukać kandydata w kronice kryminalnej.

– Cha, cha – skwitowała Patrycja, po czym roztropnie wróciła do tematu głównego. – Bukowy Zamek, w którym będziesz gościć, to jedna z piękniejszych budowli Warbenii, ma niemal pięćset lat. Nazwę zawdzięcza bukowym lasom rosnącym wokoło. W XIX wieku król Leopold przeprowadził gruntowny remont obiektu. Dobudował wspaniałą oranżerię dla swojej małżonki, szwedzkiej księżniczki Ingrid. Bardzo ją kochał, zresztą z wzajemnością. W tamtych czasach, gdy królewskie małżeństwa były niczym innym jak kontraktem, stanowiło to niewątpliwie wyjątek. Królowa uwielbiała kwiaty, zapoczątkowała Festiwal Kwiatów, który odbywa się do dziś w pierwszy weekend lipca i nosi jej imię. Zamek na ten czas staje się istnym królestwem najpiękniejszych kwiatów. Jest moc atrakcji, konkursy, festyny. Członkowie rodziny królewskiej aktywnie biorą udział w tym wydarzeniu.

Malwina z trudem stłumiła ziewnięcie.

– W zamku znajduje się pokaźna kolekcja malarstwa renesansu. Wiszą tam dzieła Tycjana, del Sarto, Sandra Botticellego. Kiedyś w telewizji mówiono, na ile to jest wycenione. Suma zwala z nóg. Rodzina królewska Warbenii słynie z zamiłowania do sztuki. Nie tylko ją zbierają i promują, ale także tworzą. Król Oskar ponoć rzeźbi, ale żadna z jego prac do tej pory nie ujrzała światła dziennego. Talent miała w nim odkryć księżna Gina, żona jego stryja Wilhelma, która była włoską rzeźbiarką. Oskar miał z nią bardzo dobre relacje. Gina to zresztą jedna z ciekawszych postaci na warbeńskim dworze królewskim. – Patrycja nie potrafiła ukryć ekscytacji. – Swego czasu nieźle tam namieszała. Można ją porównać do brytyjskiej księżnej Meghan:

Gina nie umiała odnaleźć się w nowej roli, a nikt nie chciał jej w tym pomóc, tak się przynajmniej mówi. Plotka głosi, że królowa Maria miała jej uprzykrzać życie z zazdrości o urodę. Nie dziwię się, Gina wyglądała jak połączenie Lollobrigidy z Sophią Loren. Prasa też dawała jej w kość. Babka była zdecydowanie zbyt wyzwolona, nie pasowała do tego kostycznego środowiska. Gina i Wilhelm odeszli nawet na jakiś czas z dworu i wyjechali do Włoch. Zamieszkali w Rzymie, Gina wróciła do rzeźbienia, a jej dzieła były ogromnie popularne. Złośliwcy uważali, że to zasługa tytułu. Kompletna bzdura – już przed poznaniem księcia była uznaną artystką.

Tym razem Malwinie nie udało się stłumić ziewnięcia.

– Jest świeżo zaparzona kawa, nalej sobie – zaproponowała chłodno Patrycja, przerywając opowieść.

– A, dziękuję, z chęcią.

– Wracając do króla Oskara...

– Wystarczy! – zaprotestowała gwałtownie Malwina, odwracając się od ekspresu. – Informacji mam aż nadto. Proponuję, byśmy zajęły się pracą.

– Ale nie doszłam jeszcze do najciekawszego.

– Jakoś to przeżyję.

Patrycja zaniechała dalszych prób perswazji i ostentacyjnie skupiła się na swoim komputerze.

* * *

– Król Oskar, od kiedy zasiadł na tronie, nie ma dobrej prasy. Zresztą niechęć jest obopólna – mówiła właśnie matka Malwiny.

W mieszkaniu Malwiny trwała uroczysta kolacja – pretekstem był jej wyjazd do królestwa Warbenii. Wszelkie ważne (mniej ważne również) wydarzenia, które dotyczyły członków rodziny Krzysztopolskich, były zawsze przez nich omawiane. Każdy mógł

zabrać głos i przedstawić swoje stanowisko. Teraz też zgromadzenie rodzinne w osobach Rozalii i Romana (dziadkowie), Hanny i Witolda (rodzice) oraz, rzecz jasna, Malwiny omawiało sukces tej ostatniej. Najbardziej podekscytowana nowinami była babcia Rozalia, która jako starsza koleżanka po fachu kibicowała wnuczce od samego początku, gdy tylko usłyszała o jej planach zbadania miłosnej historii pary poetów. Obecnie rozmowa nieco odbiegła od tematu głównego za sprawą matki Malwiny. Stateczna muzykolog była bowiem niepoprawną i niereformowalną miłośniczką royalsów, nie mogła zatem nie wykorzystać sprzyjającej okazji, by nie uraczyć rodziniki garścią ciekawych informacji o warbeńskiej rodzinie królewskiej.

– Skończył czterdzieści pięć lat i wciąż się nie ożenił – kontynuowała wątek króla Oskara.

– Też mi przewinienie. – Malwina miała wrażenie *déjà vu*.

– Obecnie młodzi ludzie późno zakładają rodziny – wtrącił się do rozmowy dziadek Roman. – Po prostu wprawdzie chcą coś osiągnąć, wybawić się. Czytałem nie tak dawno, że dzieci do czterdziestki mieszkają ze swoimi rodzicami i nie ma to nic wspólnego z brakiem środków finansowych na kupno własnego mieszkania.

– Dla mnie to nic innego jak przejaw lenistwa. – Witold sięgnął po bułeczkę z grzybowym farszem. – Zostają w domu, bo tak im wygodnie. Mają ugotowane, posprzątane, wyprane.

– Czy ja wiem, czy to lenistwo? – Popadł w zadumę jego ojczym. – Weź pod uwagę odwieczny konflikt pokoleń. Czy chciałoby ci się dla wygody męczyć ze wścibskimi rodzicami, ich ciągłym wtrącaniem się *et cetera*?*

– Nie chciałoby mi się.

– Tak właśnie przypuszczałem – uśmiechnął się Roman.

* *Et cetera* (łac.) – i tak dalej.

– To król – poinformowała Hanna.

– To co, że król. Taki sam człowiek jak inni – zauważył trzeźwo Roman.

– Spoczywają na nim, jakby nie było, obowiązki dynastyczne.

– Boże litościwy – westchnęła męczeńsko Malwina i dołożyła sobie sałatki jarzynowej. Zanosilo się, że matka jeszcze długo będzie ciągnęła ten temat.

– Prawdę powiedziawszy – Roman był w refleksyjnym nastroju – dopiero dojrzały mężczyzna potrafi w pełni docenić uroki ojcostwa i, co najważniejsze, być dobrym ojcem.

– Też to gdzieś przeczytałeś? – Hanna, dla odmiany, była w nastroju bojowym.

– Tak. Jak wiesz, dużo czytam, jak wszyscy w tej rodzinie – odparł z godnością.

– Ale o czym my mówimy, doprawdy? – rzuciła w przestrzeń Malwina. Była zła, a więc i zaczepna.

– Też chciałbym wiedzieć – zawtórował jej ojciec.

Babcia Rozalia nie brała udziału w dyskusji. Lubiła synową, ale to nie oznaczało, że musiała lubić i jej zainteresowania. Obecnie swoją uwagę kierowała na apetycznie wypełnione regały z książkami, widoczne przez otwarte drzwi gabinetu. Wiedziała, że Malwina kupiła kilka nowości i chciała je poznać.

– Na następcę Oskara przygotowywany jest jego siostrzeniec, ale Warbeńczycy po cichu liczą, że król jednak się ożeni i będzie mieć dzieci. – Wznowiła temat Hanna, rozwiewając nadzieję córki na rychłe zakończenie królewskiej opowieści.

– Może się ożenić i nie mieć dzieci – zauważył jak zawsze drobiazgowy Roman.

– Poddani marzą o młodej królowej.

– Raczej celebrytce, która będzie regularnie dostarczać powodów do plotek – stwierdziła krytycznie córka.

– Doprawdy nie wiem, skąd to twoje upodobanie do sarkazmu.

– To rozsądek, mamó. Jedynie rozsądek. Niepojęte, żeby w dwudziestym pierwszym wieku bawić się w monarchię, z tą całą swiłą, dyganiem, dworską etykietą... – Malwina pokręciła głową.

– Monarchia ma wiele wymiarów: przypomina o wielkości królestwa, symbolizuje ciągłość tradycji, jest elementem struktury społecznej – tłumaczyła jej matka. – Warbeńczycy są jej wierni i kochają ją – dodała.

– Banały.

– A ten siostrzeniec, o którym wspomniałaś, chce być królem? – drążył temat Roman.

– Nie ma wyboru. Księżę Aleksander ma szesnaście lat. Jest synem Eugenii, młodszej siostry Oskara. Nawiasem mówiąc, jej ślub z niemieckim księciem Ottonem Ausbergiem zu Hollenberg wywołał niemały skandal.

– A cóż takiego się stało? – zainteresował się Roman, który lubił ploteczki, ale za nic w świecie by się do tego nie przyznał.

Wnuczka miała ochotę ugryźć dziadka. Takim dopytywaniem jedynie zachęcał matkę do rozwijania tej jakże pasjonującej historii. Malwina zastanawiała się, co ją jeszcze czeka podczas kolacji, której, notabene, miała być bohaterką. Nie to, żeby zależało jej na hołdach rodziny, ale trochę zainteresowania by nie zaszkodziło. Nie wspominając już o tym, że wszyscy znali jej stosunek do toczącego się tematu. Naprawdę, wypadłoby wziąć to pod uwagę.

– Przodkowie księcia sympatyzowali z nazistami – zniżyła głos Hanna, jakby przekazywała poufną wiadomość.

– A co ma z tym wspólnego ten cały Otto? – Nie rozumiał problemu Roman.

– Chodzi o fakt, że jest ich potomkiem – wyjaśniła mu z taką miną, jakby było to oczywistością.

– Komu jeszcze herbaty? To dorobię – zapytała Malwina, nie mając lepszego pomysłu na odwrócenie uwagi. Nikt nie był

zainteresowany wonnym naparem, w przeciwieństwie do zainteresowania opowieścią – dziadek słuchał podekscytowany, a matka po prostu kwitła, mając takiego oddanego odbiorcę. Nawet ojciec łowił uchem informacje, udając, że pochłania go konsumowanie sałatki.

– Koniec końców książę Otto zjednął sobie przychyłność Warbeńczyków i obecnie jest jednym z bardziej lubianych członków rodziny królewskiej – zakończyła matka.

– Wielu Niemców ma wśród przodków nazistów, czy to z przekonania, czy ze strachu – zauważyła Malwina. – Mnie bardziej interesuje, jak rodzinka tego księciunia dochrapała się tytułu – rzuciła ze zwykłej przekory.

Dziadek Roman pokiwał głową, w pełni zgadzając się ze zdaniem wnuczki.

– Ja pochodzę z chłopstwa – oznajmił fakt ogólnie znany. – Moi pradiadkowie kochali ziemię i byli jej wierni. Mój przodek, niejaki Bożydar, odrzucił szlachectwo, które chciał mu nadać Jan II Kazimierz w podzięcie za uratowanie przed rozjuszonym niedźwiedziem, który zaatakował go w czasie polowania.

– Wiemy, wiemy – odezwał się Witold.

– Bożydar powiedział królowi – ciągnął niewzruszenie Roman – że nie pragnie tytułów, jest chłopem. Król spojrzał na niego z szacunkiem, po czym ofiarował mu ziemię i uwolnił od pańszczyzny.

– I to jest właśnie najlepszy przykład, jak rodziły się arystokratyczne rody – podsumował Witold. – Kwestia przypadku, że nie wspomnę o cwaniactwie, chęci wywyższenia się – wymieniał, prezentując, podobnie jak Malwina, niechęć względem arystokracji niższego czy też wyższego szczebla.

– Nie bądzmy tacy autorytatywni. – Staął w obronie szlachetnie urodzonych Roman. – W Polsce tytuł szlachecki otrzymywało się za zasługi dla kraju, szczególnie na polu bitwy.

– Oraz go sobie kupowano. – Nie ustępował Witold.

– „Szczególny kraj, w którym od tak dawna mieszkają obok siebie dwa całkiem różne narody: arystokracja i pospólstwo. Jeden mówi, że jest szlachetną rośliną, która ma prawo ssąć glinę i mierzwę, a ten drugi albo przytakuje dzikim pretensjom, albo nie ma siły zaprotestować przeciw krzywdzie” – przypomniało się Malwinie.

– Bolesław Prus, *Lalka* – odezwała się machinalnie Rozalia.

– Brawo, moja droga! – Roman posłał żonie spojrzenie pełne szczerzego podziwu.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Odnosiło się wrażenie, że każdy z zebranych przetrawia słowa Prusa. Ciszę przerwała Rozalia, która zakończywszy (niestety, tylko wzrokową) ewidencję biblioteczeki wnuczki, postanowiła zakończyć coś jeszcze.

– Nie bez powodu ceni się Prusa za jego racjonalny stosunek do rzeczywistości społecznej – rzekła z zawodowym zadowoleniem. – Idealne podsumowanie, moja droga – pochwaliła wnuczkę.

Nikt z zebranych nie zaoponował. Nie było tajemnicą, że wszyscy w rodzinie liczą się ze zdaniem seniorki. A gdyby mieli nawet inne zdanie (a nie mieli), nie odważyliby się go wyrazić na głos.

– Przenieśmy się w realia zdecydowanie nam bliższe i pomówmy o królewskim rodzie Wallimoux w aspekcie propagatorów słowa pisanego, pozostawiając ploteczki brukowej prasie. – Z nutką pobłażliwości zwróciła się do Hanny Rozalia. – W Bukowym Zamku, do którego jedzie Malwinia, mieści się jedna z najznakomitszych bibliotek w Europie, licząca kilkadziesiąt tysięcy woluminów, głównie pierwsze wydania. W zbiorach są rękopisy historyczne i literackie, starodruki. W tym wiele białych kruków, że wspomnę choćby encyklopedię z trzynastego wieku, spisaną na pergaminie, zdobioną iluminacjami. Malwinia będzie miała okazję to wszystko zobaczyć. Wzniesmy toast za pomyślność jej planów – zaproponowała i uniosła kieliszek z winem, a reszta rodziny poszła za jej przykładem.

– No nie wiem, czy powinniśmy to świętować. – Sposępniał ojciec Malwiny.

Zebrana przy stole rodzina spojrzała na niego zaskoczona.

– Możesz nam wytłumaczyć, synu, co masz na myśli? – zapytała jego matka.

Wszyscy zastygli w oczekiwaniu. Mecenas Krzysztopolski uwielbiał być w centrum zainteresowania (niestety takich okazji miał w domu niewiele, przywykł do pozostawiania w cieniu silnych kobiecych charakterów), teraz więc ze smakiem wyłuszczył zainteresowanej rodzinie, co go trapi. Rzecz jasna jako człowiek inteligentny, mając na uwadze popędliwe charaktery swojej matki i córki (każda miała język ostry jak brzytwa i nie bała się go użyć), zastosował metodę asekuracyjną, by zbytnio ich nie drażnić.

– Bardzo się cieszę, że Malwina spełnia swoje marzenia... – zaczął. – Ewentualny sukces wiąże się jednak z pewnymi niedogodnościami natury prawnej. Nie zapominajmy o potomkach Słowackiego i de Barry. Nie wiadomo, jakiego rodzaju rzeczy zostaną odkryte. A co, jeśli będą one, ujmijmy to oględnie, niewygodne? – Potoczył wzrokiem po zebranych.

– Litości, tato – jęknęła Malwina.

– Jest coś takiego jak naruszenie dóbr osobistych w postaci prawa do kultu zmarłego. – Nie ustępował Witold. – Rzecz jasna interpretując kontekst wypowiedzi i jej formę, należy odnosić się do wartości i poglądów panujących w społeczeństwie. Niezbędne jest tutaj posłużenie się abstrakcyjnym wzorcem przeciętnego obywatela, a nie odwoływanie się do jednostkowych, subiektywnych odczuć i ocen, w tym zwłaszcza osoby pokrzywdzonej.

– O czym on mówi, na Boga? – dopytywał Roman, uciszany spojrzeniem żony.

– Ale... – rozwodził się dalej niezrażony Witold, unosząc palec wskazujący, jakby przemawiał do studentów prawa – prawidłowe

odczytanie wymaga znajomości nie tylko kodu kulturowego, ale też kontekstu, w jakim dana wypowiedź została użyta, a z tym bywa różnie.

– Nie mam zamiaru szargać niczyjej reputacji. A jak ktoś nie umie czytać ze zrozumieniem, to już nie mój problem – podsumowała córka naukowy wywód.

– Zapewniam, że będzie twoim problemem, gdy zaczną ci ciągać po sądach – odezwał się złowroźnie.

– Nabrałeś skostnienia charakterystycznego dla zbyt długo wykonywanego zawodu. Czas pomyśleć o emeryturze – stwierdziła twardo Rozalia.

– Moje słowa – wtrącił żywo Roman. – Od dawna to powtarzam. Powinieneś za naszym przykładem opuścić wielkie miasto i osiąść w jesieni życia na wsi.

Dziadkowie na emeryturze przenieśli się do malowniczej wsi Jodłów w ziemi kłodzkiej, gdzie mieli wcześniej domek letniskowy. W przeciwieństwie do ojca Malwiny, który po kilku dniach spędzonych w tym zakątku dostawał alergii, byli zachwyceni otoczeniem.

– Dzień, w którym przejdę na emeryturę, będzie dniem mojego końca – odezwał się grobowo Witold. – Wy mnie chcecie wykończyć, po prostu wykończyć.

– Histeryzujesz – zwróciła mu uwagę żona.

– Ja histeryzuję, ja? – Nie posiadał się z oburzenia.

– Zaczynasz powtarzać słowa, a to zawsze u ciebie objaw histerii.

– Ja powtarzam? Ja powtarzam? Nic nie powtarzam, nic nie powtarzam, jedynie akcentuję.

Hanna wymownie uniosła brwi i roztropnie umilkła, sięgając po kanapeczkę z łososiem.

– Życie na wsi to błogosławieństwo dla organizmu. – Roman nie poddawał się w chęci przekonania Witolda. – Oddawałbyś

się pracy na grządkach, plewił, siał. Słowem, konsolidowałbyś się z naturą.

– Wyzionąłbym ducha przy tych grządkach.

– Ależ skąd – zapewnił ojczym. – Owszem, w pewnym wieku nie należy się forsować, ale nikt tu nie każe ci orać, jedynie...

– Czy mógłbyś z łaski swojej skończyć? – poprosił pasierb tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Roman umilkł, poprzestając na wyrażeniu miną tego, co myśli (wydął usta, zmarszczył brwi i sapnął). Jeśli jednak mecenas Krzysztopolski sądził, że to rzeczywiście koniec, sromotnie się rozczarował. Teraz bowiem włączyła się do rozmowy babcia (lubiła mieć zawsze ostatnie zdanie), następnie Hanna (marzyła, by mąż przeszedł na emeryturę i miał wreszcie więcej czasu dla niej), dziadek Roman ostatecznie nie wytrzymał i ponownie wystartował z zachwalaniem emerytury na wsi – rozgorzała gorąca dyskusja, przypominająca symultanę.

Malwina poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Owszem, była przyzwyczajona do barwnych osobowości członków rodziny, ale są pewne granice. Usta miała pełne dosadnych wypowiedzi, mimo wszystko była jednak dobrze wychowana i obrażanie rodziny na uroczystej kolacji nie leżało w jej naturze. Ale musiała zareagować. Z praktyki wiedziała, że jedyną skuteczną metodą jest odwrócenie ich uwagi. Odchrząknęła głośno, jednakże ten taktowny zabieg podziałał na przekrzykującą się familię mniej więcej z siłą zefiru.

– Spokój! – przebiła się wokalnie przez koktajl głosów.

Efekt był natychmiastowy. Zapanowała cisza, jakby ktoś nagle wyjął wtyczkę z gniazdka. Rodzina z wyżyn środowiska naturalnego i jego walorów przeniosła uwagę na środowisko rodzinne i walor w postaci wnuczki i córki. Wzrok bliskich spoczął na Malwinie z uznaniem podszytym lekką przyganą (babcia), zakłopotaniem zmieszonym z admiracją (dziadek), wyrazem dystansu (ojciec) i szczerzej krytyki (matka).

– Czas najwyższy na deser – rzekła Malwina, jakby nic się nie stało. – I od teraz będziemy zachowywali się jak ludzie cywilizowani – dodała.

– Czyżbyśmy do tej pory nie zachowywali się jak ludzie cywilizowani? – Babcia Rozalia jawnie pokpiwała sobie z wnuczki.

– A masz co do tego jakkolwiek wątpliwość? – Malwina odbiła piłeczkę. – Atmosfera godna jest bardziej karczmy niż salonów.

Babcia uśmiechnęła się pod nosem.

– „Jedzą, piją, lulki palą, tańce, hulanka, swawola! Ledwie karczmy nie rozwalą”^{*} – podsumował, chichocząc, dziadek Roman. Szybko jednak umilkł, widząc, że zebrani nie dzielą jego wesołości.

– Od teraz zajmiemy się wyłącznie lekką, niezobowiązującą rozmową – kontynuowała Malwina. – Celem dzisiejszej kolacji miał być mile spędzony czas – przypomniła. – Apeluję o pozostawienie każdemu odrobiny autonomii: żadnych tematów o etosie arystokracji, emeryturach bliższych lub dalszych i zespalanu się z naturą w grządkach czy gdziekolwiek.

Nikt nie zaprotestował. To się nazywało mieć posłuch w rodzinie.

* * *

– Jak ty możesz być taka spokojna? – dziwiła się Patrycja.

Siedziała w fotelu, w pozie swobodnej, wachlując się złożoną na pół „Gazetą Wrocławską” (przed chwilą przeczytała Malwinie artykuł o jej mających rozpocząć się niebawem badaniach w królewskiej bibliotece).

^{*} Zdajemy sobie naturalnie sprawę, Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki, iż nieobcy jest Wam ten cytat z *Pani Twardowskiej* Adama Mickiewicza. Skoro jednak nasza bohaterka jest uznaną naukowczynią (albowiem jako polonistka i erudytką nasza bohaterka feminatywów się nie lęka), porządek w źródłach musi być!

Był kolejny upalny dzień. Po zimnym maju i chłodnym czerwcu lato postanowiło z początkiem lipca obudzić się i od miesiąca, odrabiając cieplny deficyt, serwowało mieszkańcom Wrocławia i całej Europy temperatury istic tropikalne. Po wyprażonym słońcem niebie nie sunęła ani jedna chmurka, powietrze było gęste jak budyń i mieszały się w nim zapachy przegrzanych roślin, asfaltu oraz spalin. Ulice opustoszały – każdy, kto mógł, krył się w zaciszu i chłodzie domostw, reanimując się hektolitrami zimnych napojów. W mieszkaniu Malwiny pachniało przyjemnie cytryną (właśnie dorobiła kolejną porcję lemoniady z lodem), ale było niestety ciepło. Grube mury (urok przedwojennych kamienic), mimo że tworzyły skuteczną warstwę izolacyjną, przegrzewały z tropikalnymi temperaturami.

– Niebawem możesz wpisać się złotymi zgłoskami w dziełictwo polskiej kultury, a najspokojniej w świecie się pakujesz. – Przyjaciółka pokręciła głową z niedowierzaniem. – Ja bym szalała. – Zatrzepotała energicznie gazetą niczym pełnokrwista hiszpańska dama wachlarzem.

– Ależ szaleję, tylko wewnętrznie – przekonywała ją Malwina, układając ubrania w walizce. – A spakować się muszę, nikt tego za mnie nie zrobi.

– Znowu sobie pokpiwasz. – Patrycja zasłoniła twarz gazetą, po czym odsłoniła ją, ukazując wymowny grymas (zatrzepotała rękami, składając usta w uroczy dzióbek).

Przywykła do specyficznego humoru przyjaciółki Malwina parsknęła śmiechem. Pracowała z Patrycją kilkanaście lat, przez ten czas zdążyły się dobrze poznać. Ciekawe było to, że dwie tak różniące się charakterem osoby – popędliwa i stanowcza Malwina oraz ugodowa i nieco wariacka Patrycja – mogły tak się uzupełniać. A może właśnie ta odmienność była kluczem do wzajemnego dopełniania się?

– Tym razem nie pokpiwam – odparła szczerze. – Jestem zdeenerwowana, ale staram się nad tym panować.

Była to szczerza prawda. Nie opuszczała jej męcząca myśl, że być może zbyt nadmuchwała balonik oczekiwań. Nie można przecież wykluczyć porażki, a z nią rozczarowania, które zawsze jest dość przykre. Mimowolnie westchnęła.

– No, rzeczywiście jakby trochę jesteś. – Patrycja oderwała od niej wzrok, po czym wyznała: – Jak ja ci zazdroszczę! Masz cel, do którego dążysz, a ja co? Tyle miałam planów, wstępując w progi instytutu. Chciałam być jak Indiana Jones słowa pisanego: odkrywać zapomniane i zagubione dzieła literatury. A jak dotąd tylko przekładam, spisuję, numeruję i segreguję. Czasami czuję się jak ten świstak, co siedzi i zawija.

Malwina ponownie wybuchnęła śmiechem, z sympatią spoglądając na przyjaciółkę.

– Zdecydowanie za surowo się oceniasz – powiedziała, gdy tylko udało jej się opanować wesołość. – Jesteś niezastąpiona w działalności wystawienniczej i nadzorze nad przygotowaniem zbiorów do wypożyczeń. Nie wspominając już o przygotowywaniu ekspertyz i raportów konserwatorskich – wyliczała sumiennie.

– Tak myślisz? – ucieszyła się Patrycja. – To prawda, mam talent organizatorski – stwierdziła bez odrobiny skromności. – Ale chciałabym coś odkryć, tak jak ty – marudziła.

– Nic jeszcze nie odkryłam, jedynie trafiłam na pewien ślad.

– Odkryjesz, spokojna głowa. Zawsze jak się za coś weźmiesz, to jest sukces.

Umilkły, a ciszę zakłócały jedynie odgłosy tramwajów i ruchu ulicznego, dobiegające z otwartych drzwi balkonu. W tej samej chwili komórka Patrycji obwieściła nadejście sms-a. Jak się okazało, była to nowa porcja ploteczek z życia royalsów. Patrycja poczuła się w swoim żywiole, błyskawicznie zapominając o wcześniejszym temacie i płonąc chęcią podzielenia się najnowszymi, sensacyjnymi w jej mniemaniu, dworskimi informacjami.

– Są wiadomości z warbeńskiego dworu! Król Oskar znowu jest bohaterem kolorowej prasy. W Warbenii aż huczy od plotek – mówiła z przejęciem. – Lady Emilia Blumore, wspominałam ci o niej, kandydatka na żonę Oskara, zaręczyła się z bogatym szwajcarskim biznesmenem. Król został na lodzie!

Malwinie król Oskar wyłaził już uszami, boki i nosem. Od chwili gdy dowiedziała się, że jedzie do Warbenii, wciąż ktoś o nim wspominał. Jakby nie było ciekawszych tematów, doprawdy. Czuła do tego mężczyzny awersję, choć przecież w ogóle go nie знаła.

– Niby to nie jest jego dziewczyna, ale uważa się, że jest – tłumaczyła Patrycja, wyraźnie zachwycona. – A raczej była, bo już jej się odechciało czekać. Swoją drogą ja się jej nie dziwię. Ileż można czekać na oświadczyny? Czas leci, zegar biologiczny tyka, zanim się obejrzyysz, dopada cię starość.

– Ciekawe rozumowanie.

– Moja droga, to że ty postanowiłaś przejść przez życie samotnie, nie oznacza, że każda kobieta tego pragnie.

– „Cnotliwa kobieta nie goni za mężem, bo kto widział, by pułapka goniła mysz” – odcięła się Malwina.

– Dobry stary Tuwim – westchnęła Patrycja (podobnie jak Malwina ukończyła filologię polską i cytaty znanych autorów miała w małym palcu). – Nie był samotną kobietą przed czterdziestką. Momencik! – Zerwała się z fotela, widząc, że Malwina zamyka walizkę. – A gdzie sukienka? Gdzie szpilki? Nie wypuszczę cię bez tego.

– Przypominam ci, że jadę do pracy.

– Praca pracą, a kobietą zawsze trzeba być. Może cię na przykład zaprosi na kolację kustosz i co, pójdziesz w jeansach? – Zaczęła przeglądać zawartość szafy.

– A dlaczego kustosz ma mnie zapraszać na kolację? – zdziwiła się Malwina.

– A jak wpadniesz mu w oko? No co tak patrzysz, przecież to wielce prawdopodobne. Niezła z ciebie babka.

Malwina parsknęła głośnym śmiechem.

– To starszy pan – wyjaśniła przyjaciółce, wciąż się śmiejąc.

– A co to ma, przepraszam bardzo, do rzeczy? – Nie dała się zbić z pantałyku przyjaciółka. – Obecnie związki, w których partner jest starszy o kilkadziesiąt lat, to standard. Śmiało możesz się wstrzelić w ten trend.

– Wybacz, ale nie zamierzam się w nic wstrzeliwać.

– Masz rację, lepszy jest młodszy partner. Weźmy taką Cher. Ma chłopaka o czterdzieści lat młodszego i tryska energią.

– Ona czy on? – zakpiła Malwina.

Patrycja, ignorując uwagę przyjaciółki, mówiła dalej.

– Kandydatów do randki pewnie w zamku nie brakuje. Kamerdynier, lokaj, odźwierny – wymieniała potencjalny personel. – Mężczyźni w uniformach są tacy seksowni – rozmarzyła się.

– A nie ci z tajemnicą, którą można odkrywać bez końca? – kpiła dalej Malwina.

– A co ma jedno do drugiego? – spytała trzeźwo Patrycja. – Lubię sobie wyobrażać, że pod takim uniformem nic nie mają...

– Biedacy.

– Miałam na myśli brak bielizny. – Spojrzała na przyjaciółkę zmrużonymi oczami.

– Toż to perwersja! – śmiała się Malwina.

– Jestem jedynie kobietą z wyobraźnią erotyczną – sprostowała przyjaciółka, wyciągając z szafy długą błękitną sukienkę z delikatnego materiału. – Ładna, nigdy jej na tobie nie widziałam. Jest i seksowne rozcięcie, rewelacja.

Malwina przysiadła na łóżku i przyglądała się z rozbawieniem Patrycji, która ponownie zajrzała do szafy, tym razem w celu wytropienia pasującego obuwia.

– Nie masz sandałów na szpilce, ale te są super! – Wyciągnęła parę orientalnych pantofelków z granatowej tkaniny, obszytych kolorowymi kryształkami (właścicielka kupiła je kilka lat temu, podczas pobytu w Turcji, i ani razu nie założyła).

Dla świętego spokoju Malwina spakowała dodatkowe ubrania.

– Uff! – Odetchnęła z ulgą Patrycja, ponownie moszcząc się w fotelu. – Mogę cię już spokojnie wypuścić w świat.

– Bo mam sukienkę i pantofelki? – spytała sarkastycznie Malwina.

– Sukienka to najlepsza przyjaciółka kobiety, moja droga. Pamiętaj przemianę Kopciuszka po włożeniu sukienki podarowanej przez Dobrą Wróżkę?

– Coś konfabulujesz. – Malwina uniosła wymownie brwi.

– Chciałam jedynie powiedzieć, że sukienka to gracia, delikatność i niczym niezmaczona kobiecość. No to teraz opowiem ci jeszcze trochę ploteczek ze świata royalsów... Są niesamowicie ekscytujące.

ROZDZIAŁ 2

Przez witrażowe okno do gabinetu wpadały promienie słońca, tworząc feerię ciepłych barw, które kładły się wdzięcznie na politurowanych dębowych meblach, obiciach skórzanych foteli i grzbietach starych książek. Plamki słońca tańczyły wesoło także na ubraniach dwóch mężczyzn, którzy jednak nie zwracali uwagi na ten świetlny spektakl.

– *Lady Emilia już nie czeka; Oskar, co z Tobą?!*; *Król został sam; Ciemne chmury nad Oskarem Ponurym* – czytał z tabletu tytuły artykułów w brukowcach Krystian Mercier, wysoki blondyn w nienagannie skrojonym garniturze, emanujący urzędową powagą, doświadczeniem i profesjonalizmem, wieloletni prywatny sekretarz niegdyś księcia, a teraz króla Warbenii Oskara II. Był nie tylko jego pracownikiem, ale i przyjacielem. – Nie ma gazety, która by nie poruszała tego tematu w mniejszym bądź większym stopniu. Do tego zdjęcia z waszych wspólnych wyjść i twoje z tym charakterystycznym wyrazem twarzy: na poły obrażonego, na poły znudzonego – dodał.

– Rozumiem, że wypadłbym lepiej, szczerząc głupkowato zęby – skwitował krótko król. W przeciwieństwie do swojego sekretarza był ubrany na sportowo: w czarne jeansy i niebieską koszulkę polo. Ciemne kręcone włosy układały się niesfornie na jego kształtnej czaszce, kiedy kolejny raz przejechał po nich dłonią gestem zdradzającym rozdrażnienie. – Jak myślisz, te

pismaki uczą się wymyślania grafomańskich tytułów na studiach czy zdolności nabywają w praktyce?

Przyjaciół ograniczył odpowiedź do wymownej mimiki. Nie był w nastroju do żartów, co innego chodziło mu teraz po głowie.

– Królowa nie jest zadowolona – poinformował Oskara.

Krystian rano miał spotkanie z królową Marią, która poleciła kategorycznie „coś z tym zrobić”. Jego uwagę, że potomek nie pójdzie na żadne ustępstwa, zignorowała, dodając na koniec rozmowy, że „liczy na niego”. Westchnął teraz w myślach.

– Żadna nowość, to u mojej matki stan permanentny – mruknął Oskar.

– Musimy jakoś na to zareagować.

– Szkoda czasu i nerwów. Jest nie do zdarcia.

Sekretarz uśmiechnął się lekko.

– Miałem na myśli prasę.

– Prasa także – stwierdził z niechęcią król.

– Oskar, ja mówię poważnie. Brak reakcji z naszej strony tylko zaoigni sprawę.

– Mądry dobrze wie, że to historia wyssana z palca, a głupi, co by nie zrobić, i tak nie zrozumie.

– Wskazane jest działanie – nalegał Krystian, ignorując tę uwagę.

– Komentowanie tych bzdur tylko je nobilituje – rzucił rozdrażniony Oskar. – Jedna z żelaznych zasad mojej rodziny brzmi: „Nigdy nie narzekaj, nigdy nie wyjaśniaj”. Zatem nie będę narzekał, a tym bardziej wyjaśniał cokolwiek. A jak przeholują, to wkroczą moi prawnicy.

– Dobrze wiesz, jak się takie „wkroczenie” prawników skończyło ostatnim razem. Dziennikarze zarzucili ci, że ingerujesz w ich wolność.

– Ale oni w moją wolność mogą ingerować, wciąż wymyślając kolejne wyssane z palca historie? – prychnął.

– Po części sam sobie jesteś winien. Zawsze ignorowałeś prasę. Tymi artykułami dają wyraz swojemu niezadowoleniu. Twoja komunikacja przez lakoniczne oświadczenia rzecznika pałacu to naprawdę za mało. Nie mówię, żebyś ich kochał, ale mógłbyś być bardziej otwarty. Można wypracować kompromis.

– Kompromis z prasą? – Oskar spojrzał na niego, jakby właśnie powiedział największą bzdurę dnia. – Jesteś beznadziejnym optymistą, drogi przyjacielu.

– Jestem realistą. Poparcie dla monarchii ciągle spada. W ostatnim sondażu za jej utrzymaniem opowiedziało się sześćdziesiąt procent ankietowanych. Gdy rządził twój ojciec, monarchię popierało osiemdziesiąt pięć procent podwładnych. W rankingu popularności członków rodziny królewskiej jesteś dopiero...

– A co to ma do rzeczy? – przerwał mu zirytowany władca.

– Jedynie sympatia i poparcie obywateli utrzymują rodzinę królewską na tronie. A tę popularność zapewniają prasa i telewizja.

– Jeżeli stabilność monarchii ma opierać się na takich wartościach, to może rzeczywiście lepiej ją znieść – odezwał się zaczepnie Oskar.

– Nikt ci nie każe sprzedawać się prasie, ale umiejętne reglamentowanie informacji na swój temat naprawdę nie zaszkodzi.

– Domyślam się, że masz już jakiś pomysł. – Spojrzenie króla było pełne oczekiwania.

– Niebawem rozpoczynają się zawody hippiczne, będzie na nich obecna Cecylia – zaczął ostrożnie Krystian. Na tyle długo znał Oskara, by wiedzieć, że jedyną metodą na niego jest dyplomatyczna perswazja.

Angielka Cecylia Wilby była córką piątego hrabiego Richarda Wilby'ego, długoletniego przyjaciela rodziny królewskiej. Sztowna, przewidywalna, podporządkowana etykiecie, zagorzała miłośniczka koni, notabene sama przypominająca konia, najlepiej

czuła się w siodle i stajni. Królowa Maria po cichu liczyła, że Oskar zwróci uwagę na tę wysportowaną amazonkę. Oskar i owszem, podziwiał Cecylię za jej kunszt jeździecki i zaangażowanie, z jakim oddawała się sportowej pasji, zdobywając liczne nagrody, na tym jednak jego podziw się kończył.

– Mów dalej – poprosił teraz, przeczuwając zbliżający się finał i czując, że mu się nie spodoba.

– Zaproszenie Cecylii do królewskiej łóż dałoby temat prasie.

– Owszem, temat do kolejnych spekulacji i tworzenia spiskowych teorii – prychnął. – To pomysł mojej matki. – Bardziej stwierdził niż zapytał.

– Po prostu byłoby to dobre piarowskie posunięcie. – Krystian sprytnie uchylił się od odpowiedzi.

Oskar wstał od biurka i podszedł do okna. Przed jego oczami roztaczał się rozległy pałacowy dziedziniec. Za zdobną w wymyślne ornamenty bramą toczył się ruch uliczny, turyści robili sobie pamiątkowe zdjęcia z pałacowymi strażnikami, fotografowali się na tle fasady pałacu.

– Łamiące zasady poszanowania godności innych. Cecylia stałaby się mięsem armatnim – odparł.

– Bez przesady. Wszyscy wiedzą, że się przyjaźnicie, więc może ci towarzyszyć w łóż. A że prasa będzie się doszukiwać w tym drugiego dna... Taka ich rola. – Wzruszył ramionami sekretarz.

– Nawet gdybym przyjął ten pomysł, jego realizacja jest niemożliwa. Mam inne plany na najbliższe dni. Jadę do Bukowego Zamku.

– Przecież zaraz wyjeżdżasz do Kanady. – Krystian nie krył zaskoczenia.

– Nie tak znowu zaraz – poprawił go król.

– Trzeba jeszcze dopracować szczegóły wizyty.

– Doskonale poradzisz sobie beze mnie.

- Sugerowałbym jednak...
- Nie zmienię swoich planów.
- W zamku będzie teraz ta Polka – przypomniał Krystian, jakby ten fakt mógł wpłynąć na decyzję Oskara.
- Jaka znowu Polka?
- Z Zakładu Narodowego imienia Ossolińskich we Wrocławiu. Wyraziłeś zgodę na zbadanie przez nią bibliotecznych zbiorów.
- A, ten tajemniczy romans polskiego wieszczka – przypomniał sobie Oskar. – To spory zameczek, jakoś się pomieścimy.
- Królowa wie o twoim wyjeździe?
- A po cóż jej to wiedzieć? – Spojrzał na swojego sekretarza ze zdziwieniem.
- Jak się dowie, nie będzie zachwycona.
- Na miłość boską, przestań wciąż to powtarzać! – Zirytował się władca. – Moja matka musi zrozumieć, że czas jej rządów się skończył.
- Królowej zależy na dobru monarchii. – Krystian próbował go udobruchać.
- Zawsze zależało jej tylko na dobru monarchii. – Na twarzy Oskara pojawił się cień rozgoryczenia.
- „Czasem zastanawiam się, czy to nie z nią wzięła ślub” – dodał w myślach.
- Twój wyjazd będzie kolejnym pretekstem do ataków prasy.
- Jestem królem, nie więźniem, i mam prawo wyjeżdżać, kiedy i dokąd zechcę.
- Przez chwilę żaden nic nie mówił. Stojący zegar z ciężarkami zawieszonymi na lśniących łańcuchach miarowo odmierzał czas, minuta po minucie.
- Jeśli to wszystko... – Oskar chciał jak najszybciej zakończyć to spotkanie.
- Na razie tak – odparł Krystian. Wiedział, że dalsza rozmowa i tak nie miałaby sensu, skłonił się więc i wyszedł.

Król spojrzał na wiszący nad kominkiem portret ojca. Ojciec od zawsze stanowił dla niego niedościgniony wzór władcy. Gdy należało, był konserwatywnym monarchą, bezwzględnie przestrzegającym etykiety. W innych sytuacjach ukazywał oblicze miłego i wyrozumiałego mężczyzny o dużym poczuciu humoru. Oskar wiedział, że nigdy mu nie dorówna i nie zamierzał tworzyć gorszej kopii. Zdecydował się na sposób bycia całkowicie różny od ojcowskiego, chowając się w skorupę władcy ponurego, niedającego się ponieść emocjom, zawsze zdystansowanego i dumnego. Nie był z tego powodu specjalnie szczęśliwy, zauważył też, że nie podoba się to nikomu, ale uważał, iż nie ma wyboru.

* * *

Królowa Maria знаła swoje obowiązki i wykonywała je perfekcyjnie. Zawsze dyspozycyjna, zawsze opanowana, zawsze elegancka. Chłodną i zdecydowaną postawą potrafiła przez lata utrzymać powagę urzędu oraz podtrzymać więź ludu z monarchią. Była kobietą despotyczną, co niejednokrotnie na własnej skórze odczuli pracownicy dworu, a przede wszystkim członkowie rodziny królewskiej. Jej dzieci wiedziały, że z matką się nie dyskutuje, a jej zdanie jest ostateczne. Dorastając, Oskar i dwa lata od niego młodsza Eugenia buntowali się na taki stan rzeczy, co wywoływało liczne konflikty. Rolę rozjemcy pełnił ich ojciec – król Albert. Łagodził wszelkie spięcia, starając się zawsze wybrać środek, który zadowoli obydwie strony.

– Słyszałam, że wybierasz się do Bukowego Zamku – powiedziała królowa, nalewając herbaty do cienkich jak pergamin porcelanowych filiżanek o prostej, klasycznej formie.

Oskar został zaproszony do matki na popołudniową herbatę. Spotkania te nazywał „dywanikiem”, bo zawsze w pakiecie była jakaś reprimenda. Tym razem czekało go coś więcej.

– Widzę, że będę musiał przypomnieć mojemu sekretarzowi definicję słowa: lojalność – odparł kąśliwie.

– Nie czas na wycieczki – kontynuowała Maria, ignorując jego uwagę. – Monarcha musi przede wszystkim służyć krajowi i wykonywać swoją pracę.

– Na miłość boską, wyjeżdżam tylko na krótki urlop, a nie abdykuję! – zirytował się.

– Ty już dawno, zdaje się, abdykowałeś – stwierdziła sucho.

– Oszczędź mi, proszę, tych oracji i przejdź do meritum.

Królowa spojrzała na syna. Jej wzrok, jak zwykle, wyrażał chłodny dystans. Oskar starał się przypomnieć sobie, kiedy matka patrzyła na niego z miłością, ale nie potrafił.

– Zaczynij wreszcie zachowywać się jak król.

– A co to znaczy: zachowywać się jak król? – zapytał zaczepnie.

– Podwładni chcą, byś dał im królową – odpowiedziała.

Milczał, przyglądając się trzymanej w dłoni filiżance. Cisza, nabrzmiała w podteksty, przedłużała się.

– Czy ty mnie słuchasz, synu? – W głosie królowej wyczuwał na była nuta poirytowania.

– Ależ słucham, mamu. Zawsze słucham. Z mniejszym bądź większym zainteresowaniem. – Niespiesznie odstawił filiżankę na spodek.

W innym przypadku Maria nie darowałaby tak jawnego afrontu, teraz jednak miała konkretny plan, który zamierzała wprowadzić w życie. Dla własnych korzyści była gotowa do ustępstw, nawet takich jak zignorowanie beczelności względem niej.

– Przyjechała Cecylia, zostanie jakiś czas u swojego wuja Malcolma – poinformowała, a Oskar już wiedział, jak potoczy się dalsza rozmowa.

Przez chwilę matka i syn mierzyli się wzrokiem, jakby szykowali się do walki.

– Zaprosiłam ją na kolację. Życzeniem moim jest, byś i ty również był na niej obecny.

– Przykro mi, mam inne plany.

– Plany można zmienić.

– Ale ja nie chcę ich zmieniać.

Zapanowała ciężka cisza, wybuch był jedynie kwestią czasu. Z ofensywą wyszła królowa.

– Najwyższa pora, byś zaczął myśleć o państwie.

– Kolacja z Cecylią Wilby ma mi w tym pomóc? – Po twarzy Oskara przemknął nikły uśmiech, dostatecznie jednak intensywny, by wyprowadzić matkę z równowagi.

– Twój ojciec przewraca się w grobie. – Uderzyła tam, gdzie zabolalo najbardziej.

– Mój ojciec nie żyje – odrzekł twardo.

– Dobrze wiesz, jakie są ostatnie sondaże poparcia dla monarchii, że nie wspomnę już o twojej „popularności” wśród poddanych. Niszczysz to, na co pracowali twoi przodkowie. – Nie zamierzała ustępować.

Tu Oskar musiał przyznać matce rację. Od kiedy wstąpił na tron, wszystko zaczęło się psuć. Czy się starał, czy nie, i tak zawsze wychodziło tak samo, czyli miernie.

– Potrzebujesz żony, która pomoże ci dźwigać koronę. Cecylia jest idealną kandydatką – kontynuowała królowa. – Wywodzi się z naszego środowiska, zna zasady, którymi się kierujemy. Możecie stworzyć stabilny związek, który wzmocni monarchię.

– Wątpię, by znajomość końskiej natury u mojej potencjalnej małżonki mogła być kluczem do odrodzenia świetności monarchii – zauważył z lekkim rozbawieniem.

– Na litość boską, bądźże poważny! – wybuchnęła.

– Nie mogę być poważny, gdy wychodzisz z podobnymi niepoważnymi propozycjami – stwierdził.

Przez chwilę oboje milczeli.

– A miłość? – odezwał się nagle Oskar. – Gdzie w tym wszystkim jest miejsce na miłość?

– Liczy się tradycja – odparła kategorycznie, jakby było to oczywistością.

– Nie każdą tradycję należy kontynuować. Jeżeli kiedykolwiek się ożenię, to tylko z kobietą, którą pokocham i która będzie mnie kochać nie za to, kim jestem, ale jaki jestem.

Na te słowa Maria odpowiedziała niecierpliwym westchnieniem i stwierdziła, że mówi jak romantyk, nie król, po czym dodała:

– Podstawą udanego związku są nie motyle w brzuchu, lecz wspólne wartości, a to może ci zagwarantować jedynie kobieta, która wzrastała w środowisku takim jak twoje.

– To anachronizmy. – Nie wytrzymał. Rozmowa z matką coraz bardziej go irytowała.

– Ja i twój ojciec...

– Nie zamierzasz mi chyba stawiać waszego związku za wzór? – wszedł jej w słowo. – Byłaby to z twojej strony czysta hipokryzja.

– Zważaj na słowa – ostrzegła chłodno.

– Nie ma sensu przedłużać tej rozmowy. – Wstał, szykując się do wyjścia.

– Przemyśl swoje postępowanie, nim będzie za późno, Oskarze – rzuciła, gdy już stał w drzwiach. Nie zabrzmiało to jak rada, lecz jak ostrzeżenie.

– Do widzenia, mamó. – Wyszedł, pozostawiając jej słowa bez komentarza.

Maria spoglądała na zamknięte za Oskarem drzwi. Pod maską opanowania skryła burzę emocji. Nie przywykła przegrywać, a tym razem została pokonana.

„Bitwa to jeszcze nie cała wojna” – pomyślała, postanawiając niezwłocznie przejść do planu B.

* * *

– Odwiedziła mnie twoja matka. Zapewne domyślasz się celu jej wizyty – zakomunikował Oskarowi stryj Wilhelm, zwany w rodzinie Willem, nie odrywając wzroku od szachownicy.

Raz w tygodniu grywali ze sobą w szachy. Obaj lubili te wspólne popołudnia i niespieszną, analityczną grę, przy której, namyślając się, można zarazem toczyć dyskusje, żartować, po prostu miło spędzać czas.

– Jak widzę, matka jest zdesperowana – mruknął z przekąsem Oskar.

Starszy pan uśmiechnął się pod nosem, wyjmując fajkę z kieszeni aksamitnej bonzurki. Nie było tajemnicą, że jego relacje z bratową nie wybiegają poza dyplomatyczną poprawność. Mówiąc wprost, nie przepadali za sobą i oszczędzali sobie przebywania w swoim towarzystwie.

– Maryśka (nazywał ją tak, bo wiedział, że nie przepada za tym zdrobnieniem) po prostu martwi się o ciebie – odpowiedział.

– Martwi się o firmę, nie o mnie – uściślił ze znużeniem Oskar, odchylając się na fotelu i zakładając ręce na piersi.

– Martwi się o ciebie – powtórzył Will, skrzętnie nabijając fajkę tytoniem.

– Wszyscy się o mnie martwią. Spowija mnie ogólnonarodowa troska. Ja też się o siebie martwię, prawdę mówiąc – odparł gniewnie.

– Nigdy nie jest aż tak źle, jak nam się wydaje. – Stryj tonował jego emocje.

– No nie wiem. – Oskar przejechał dłonią po włosach. – Dotarłem do miejsca „kiedyś”. Powinienem zacząć działać i działać... wszystko psując. – Z jego piersi wyrwało się ciężkie westchnienie.

– Czasem trzeba coś zepsuć, by następnie móc to naprawić. – Will zapalił fajkę.

Oskar machnął dłonią w geście bezradności. Optymizm stryja jak dotąd pomagał mu racjonalnie oceniać sytuacje i zwiększał poczucie bezpieczeństwa, oparte na wierze w możliwość pokonywania trudności. Tym razem jednak jakoś nie odczuwał polepszenia samopoczucia. Prawdę powiedziawszy, czuł jeszcze większe przygnębienie. Słowa otuchy, wypowiedziane od serca, co do tego nie miał wątpliwości, obnażały jego niedołęstwo

„Jestem żalosny” – pomyślał z goryczą.

Zamierzał jakoś skwitować słowa Wilhelma, ale ostatecznie ponownie ciężko westchnął.

Stryj przyglądał mu się w milczeniu, pykając fajeczkę. W powietrzu unosił się przyjemny aromat wiśniowego tytoniu.

– Ostatnie sondaże poparcia nie są optymistyczne – odezwał się Oskar po chwili. – Zbliżam się popularnością do ciotki Józefiny – zauważył grobowo.

– To może przybić – przyznał z kpiącym uśmieszkiem starszy pan.

Księżniczka Józefina należała do dalszych członków rodziny królewskiej (była kuzynką Alberta i Wilhelma), co nie przeszkadzało jej wysuwać się na czoło w kwestii dostarczania tematów kolorowej prasie, głównie za sprawą słabości do ginu. Na wszelkie słowa krytyki odpowiadała, że pije tylko dla zdrowotności – gin świetnie konserwuje i zabija wszelkie choroby. Trzeba przyznać, że choroby rzeczywiście w zaskakujący sposób omijały tę kobietę. Co do konserwacji, też nie można było narzekać – w wieku przeszło osiemdziesięciu lat cieszyła się zdrowiem jak tur, nie wspominając o imponującej kondycji (zawdzięczała ją jakoby regularnej grze w krykieta) i jasnym umyśle (poza momentami, gdy zasnuwały go opary ginu). Oprócz alkoholu Józefina miała we krwi także malkontenctwo. Z zasady nikt i nic się jej nie podobało. *Summa summarum*^{*}, była osobą ciężką we współzyciu i kto tylko mógł, omijał ją szerokim łukiem.

^{*} *Summa summarum* (łac.) – podsumowując.

– Sondaże służą uprawianiu propagandy – rzekł Will. – Jest mnóstwo sposobów, żeby w danych uzyskać taki wynik, o jaki nam chodzi – zauważył trzeźwo.

– Faktem niezaprzeczalnym jest, że od kiedy zostałem królem, wizerunek monarchii znacznie podupadł – stwierdził z rezygnacją Oskar. – Od śmierci ojca czuję się, jakbym grał w teatrze absurdu. Od dziecka byłem przygotowywany do roli króla, więc zostanie nim powinno być dla mnie czymś naturalnym, a nie jest. Ja się chyba po prostu do tej roli nie nadaję.

– To, że otrzymaliśmy prawo jazdy, nie robi z nas automatycznie kierowców, a jedynie daje prawo do kierowania autem. Dopiero w praktyce stajemy się kierowcą – zauważył filozoficznie stryj. – Potrzebujesz czasu, by nauczyć się być królem.

– Powiedz to mojej matce i zawiedzionym moją postawą mieszkańcom Warbenii – rzekł przygaszony Oskar, po czym dodał z wyrzutem: – Wszyscy oczekują, że będę taki jak ojciec, ale ja nie jestem nim.

– Zatem pokaż wszystkim, jaki jesteś. Udowodnij, że mimo inności, a może właśnie dlatego, możesz być równie dobrym monarchą.

– To się nie uda. – Oskar pokręcił głową.

– No, z takim nastawieniem to na pewno się nie uda – zakpił Will.

– Jak niby miałbym to zrobić? – Spojrzał na stryja pytająco.

– Przede wszystkim przestań tyle myśleć o sobie.

– Ale ja właśnie ze sobą mam największy problem.

– Tylko ci się tak wydaje – odparł spokojnie Wilhelm. – Uwierz mi, zaczniesz mniej myśleć o sobie, to i problemy łatwiej ci będzie rozwiązać. Umysł się rozjaśni i przyjdą pomysły.

– Pomysły – powtórzył z lekkim uśmieszkiem Oskar. – Jak zapewne wiesz, matka już ma pomysł na mnie: małżeństwo z rozsądku, jedna z tak cenionych przez nią form tradycji, będąca lekarstwem na całe zło. – Skrzywił się, jakby zjadł cytrynę.